

Taki to już przywilej starego poety – wiedzieć
 więcej
 od tych których minął
 i pisać tak że każda puenta posiada nagrobną
 formę
 lecz nawet ostateczne sentencje milkną zziąbane
 przez spacer
 dante bach Guenter z marburga i panna jadviga
 wszyscy przechodnie
 którzy już nie przeglądają się w żadnej idei
 alejki trakty traktaty....
 Zadyszka (...)

Tu urywam, zachęcając do lektury. Przywołałem ten fragment, bo potrzebna mi była owa *zadyszka*, ale nie w swojej ontologicznej funkcji krótkiego oddechu, lecz jako zatrzymanie, spowolnienie. Bo już od pierwszych stron „Południka” Sikorski wprowadził mnie w sposób naturalny w rytm powolnego czytania. Ale to nie jest kwestia jakichś jego składniowych zabiegów, zabiegów gramatycznych, lingwistycznych czy jakichkolwiek innych. To jest kwestia poetyckiego *tembu* i poetyckiej dykcji. Kwestia tego, co i jak autor do mnie mówi. Pisząc jeszcze inaczej: nie można szybko słuchać (bo przecież czytając słuchamy) kogoś, kto mówi *głęboko*. Za to Ci, Czarku, dziękuję. Prywatnie i w imieniu poezji. A mogę tak czynić – w końcu każdy z użytkowników języka jest po trosze uzurpatorem – bo traktuję wiersz jako jednostkę rozrachunkową w rozmowie poety ze światem (lansuję tę swoją tezę, gdzie tylko mogę, więc i tu). W wypadku Twoich wierszy sprawdza mi się ona stukrotnie, stąd podziękowania. Siedzę więc, otwieram buzię i słucham. Nic nie muszę mówić i – normalnie – nie musiałbym pisać, gdyby nie chęć podzielenia się z Tobą i Czytelnikami radością słuchania. Można przekazać radość słuchania nie mówiąc, nie pisząc o niej? – pytanie do Cezarego Sikorskiego znawcy muzyki. Pytanie poważne, temat odstępuję i słucham dalej.

Słucham Sikorskiego wśród gwaru współczesności, gwaru bloku, w którym mieszkam i ulicy wlewającej się przez okno. Słucham w gwarze klasy, którą uczę (dzieciaki piszą klasówkę a ja piszę ten tekst zerkając na nich spod okularów). Wiersze przeczytane do tej pory mają i tę właściwość, że skutecznie odcinają od otoczenia. Ono nie znika, pozostaje najbardziej realne z realnych, ale wiersze Cezarego swą mocą odcinają od otoczenia. Odcinają nie izolując. Pomyślałem teraz, że jest to kolejna ich ciekawa właściwość. One są właśnie takie odcinająco-nieizolujące, a są takie dzięki działaniu wyobraźni autora. Jego wyobraźni poetyckiej, językowej, intelektualnej, która swobodnie krąży łącząc *pergaminy* z *cyfrową matrycą* dzisiejszej kultury, *zadyszkę* starzejącego się poety z *oddechem* historii, uczucie z myślą, fantasmagorie z prawdą. W „Południku” znajduję *formę bardziej*

pojemną, której szukał Miłosz, ale nie znalazł. Bo szukał pomiędzy poezją a prozą a nie – jak Sikorski – w archeologii ludzkiego myślenia, a więc nie w formach języka, lecz w jego rudymencie, nawarstwieniach, palimpsestach. Dzięki pracy poetyckiej w takich rejestrach wiersze z „Południka” wyprowadzają mnie na otwarty przestwór oceanu, wiodą ku górze, coraz wyżej i wyżej aż do zatracenia roztańczających się stamtąd widoków. Zanurzają w *mikrowszech* świat ludzkiej łzy (patrz wiersz o ojcu). Pochylają moje starzejące się ciało ku rozgrzanej ziemi czekającej z ufnością, cierpliwie i cicho. W wierszach Sikorskiego chodzę swobodnie po Hadesie, mocuję się z bogami na Olimpie. Jestem małym pisarczykiem z Florencji albo skrybą własnego natchnienia. To dzięki nim oglądam końce świata nie tylko w Orvietto (patrz wiersz *Koniec świata w Orvietto*), ale i świata początki, bo każdy wiersz jest jakimś światem i świata swego początkiem. I my sami. Dokonałem tej wyliczanki nie po to, aby epatować enumeracją (mógłbym ją ciągnąć i ciągnąć) lecz by powiedzieć, że w wierszach „Południka” nie muszę się między tymi elementami przemieszczać, bo dostają je w *jednym*, dopadają mnie jednocześnie, bo są stworzone przez autorskie poetyckie spoiwo, przeżute i „wypłute” w świat autonomiczności wiersza.

I aż się trochę lękam, czy Cezary nie powiedział Wszystkiego i ciekawość mnie bierze, jak przekroczy to Wszystko w następnych wierszach. Bo nie wierzę, że Wszystko powiedział. Wierzę, że za chwilę powie Inaczej, bo takie mam doświadczenie z jego kolejnymi tomikami. W nich jedna tylko stałość: Sikorski przepoczwarzający się w... Sikorskiego, reszta w każdym tomiku ożywczo nowa. Ciekaw jestem. Dlatego te wiersze są rozmową (poety Sikorskiego ze światem) a nie tak przeważającą we współczesnej poezji gadaniną. A rozmowy się słucha, a przynajmniej słuchać można, gdy od gadaniny się ucieka, stroni. Ona już nie na moje uszy.

Posłuchajmy „Końca świata w Orvietto”:

Bez mała tysiąc lat temu Zbigniew Herbert
 odwiedził Orvietto.
 Któż dziś pamięta rok 1959? Nie zdarzyło się
 wtedy wiele,
 co zasługiwałoby na uwagę. Fidel Castro
 wkroczył do Hawany,
 Dalajlama uciekł z Tybetu, a Juda Ben Hur,
 którego napoił Jezus,
 Dostał Oskara.

Choć szykowano się do trzeciej wojny, czas był
 nadal spokojny.
 Kamienie w kolorze umbry i sieny
 porządkowały obraz od dołu,
 gdy w górze niebo mieszało z wiatrem
 akwamaryny. Nieliczni turyści
 nie odróżniali się od poetów, kiedy czekając na
 koniec świata,

poddawali się rozpuście makaronu.

Wszystko wydawało się proste i klarowne. Nie
 trzeba było studiować
 Tomasza z Akwinu, aby odróżnić dobro od zła.
 Niczym we freskach
 Mistrza Signorelliego czysta estetyka i dobry
 smak wystarczały,
 by oddzielić zbawionych od potępionych. Chłód
 moralnych *duomo*
 udzielał się każdemu.

Tymczasem dziś, w dniu *finimodo*, wszelkie
 sprawy ulegają komplikacji.
 Może dlatego, że w głębokich rozpadlinach,
 które pochłaniają żywych
 i wyrzucają na powierzchnię umarłych – niebo
 miesza się z ziemią.
 I tak jak nie ma już czystych kolorów, tak nie ma
 w pełni żywych
 i nie ma całkiem umarłych.

I tak jak znikają granice między wodami
 i lądem, tak i zatracił się
 prosty podział na *tak* i *nie*. Trudno zrozumieć te
 przemieszczania,
 które drwią z oczywistości dobra i tajemnicy
 zła. Pękają fundamenty.
 Także katedry w Orvietto. Nikt nie wie, czy
 zaraz zmieni się gruz
 wraz ze światem, czy może pójdzie do nieba.

Gdy wcześniej pisałem o specyficznych dla Sikorskiego *przeptywach*, o jedności i jednoczesności doświadczenia mimo, że nie możemy tej jednoczesności dobrze oddać ze względu na *liniowy* a nie *symulacyjny* charakter zapisu językowego, to wiersz „Koniec świata w Orvietto” jest doskonałą egzemplifikacją tego, jak poezja z takimi ograniczeniami języka sobie radzi. Zwróćmy uwagę choćby na *czas* w tym wierszu. Herbert *żył tysiąc lat temu*, *Oscara* dostaje *Juda Ben Hura*, którego *Jezus poi*. *Czas* jest jednością bez jakichkolwiek barier utrudniających czytelniczą *dyslokację*. Żadnych problemów z tymi *przeptykami* nie mamy. Choć dzieją się w sposób urągający logice, to przecież nie drażnią, wręcz przeciwnie – zdają się trafiać w coś istotnego, zdają się w istotny sposób ujmować *czas* naszego umysłu, historii, duszy, pamięci. A nie jest to pamięć archeologiczna, lecz przejmująca *wszechpamięć*, z którą się mierzymy i żyjąc i umierając.

Dokończenie w następnym numerze

Andrzej Wołosewicz

Cezary Sikorski, „Południk”. Zaufek Wydawnictwo „Pomyłka”, Szczecin 2016, s. 42.

